Nr. 17. Rok II.

We Lwowie 28. Kwietnia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:

W miejscu rocznie: 12 zł. — na prowincji: 13 zł.

„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie 1 zł. 10 ct. w miejscu, a 1 zł. 15 ct. na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę zamiejscową przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

miejscową: Księgarnia polska przy placu Halickim Nr. 14.

Od Administracji: Z numerem dzisiejszym kończy się prenumerata miesięczna, upraszamy zatem tych pp. prenumeratorów, którzy do 1. maja zapłacili, o łaskawe odnowienie przedpłaty, jeżeli życzą sobie następny numer otrzymać.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 18. „Ziarna“ wyjdzie d. 5. Maja 1883.

KAZIMIERZ LEWICKI

Główny skład dla Galicyi

Szkła, Porcelany

i

towarów mięszanych

we Lwowie, ulica Trybunalska l. 6.

założony w r. 1845.

SERWISIKI

do

OCTU i OLIWY

w postumentach drewnianych
w postumentach

z chińskiego srebra,

także i platerowanych

i z brytania metalu w wielkim wyborze.

Kowalski & Mayer

we Lwowie,

pod „Opatrznością" Rynek l. 26.

polecają

swój obfity skład

wszelkich rodzajów Płócien, Web rumburgskich, szwajcarskich, holenderskich i francuskich.

Oraz różne Caschemiry, Tybety, Alpaki, Wełnianki, Flanelki, Barchany kolorowe i białe, Pończochy, Szkarpetki, Pończoszki dziecinne, Kaftaniki, Spodnie, różne wyroby trykotowe i włóczkowe, Nici, Bawełnę białą i kolorową, Watę i Bawełnę czesaną, Kołdry, Kocyki i nakrycia na łóżka.

Obstalunki na bieliznę i zamówienia na prowincyę uskutecznia jak najspieszniej i najakuratniej.

DRUKARNIA

„DZIENNIKA POLSKIEGO"

przy ulicy Halickiej l. 46 na dole

przyjmuje wszelkie zamówienia na

roboty odnoszące się do sztuki drukarskiej

które uskutecznia prędko, wzorowo

i po cenach umiarkowanych.

Leon Zubalewicz.

zarządca.

Nr. 17. We Lwowie dnia 28. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petite m

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

V.

— To prawda, jaśnie panie, nasz ksiądz proboszcz także mi już o tem wspominał, ale gdzie tam chłystkom myśleć o szkołach. Mój chłopak niech lepiej w domu siedzi, Boga chwali i mnie pomaga, bom już stary.

— W domu macie córkę, która wnet podrośnie, ona zatem niech wam pomaga, a chłopiec niech idzie w świat, może zostać księdzem.

Jacenty podniósł głowę, którą aż dotąd pokornie ku ziemi trzymał schyloną. Podobała mu się nadzieja, jaką mu zrobił hrabia.

— Księdzem? Ta prawda, coby nim mógł zostać... przecie nie święci garnki lepią. Ale żeby księdzem zostać, trzeba się długo uczyć i dużo wydać pieniędzy.

— W tem już moja głowa, Jacenty; wasz chłopiec będzie z moim mieszkał, a za to, że będzie pamiętał o Lola garderobie, dostanie całe utrzymanie. Nie zapomnę także o jego ubiorze i książkach.

Jakkowiek hrabia mówił oględnie, szlachcic nie potrzebował się domyślać, że jego syn będzie właściwie nie tyle towarzyszem, ile służącym hrabiego. Ale taka propozycja bynajmniej go nie obraziła. Wszak on sam służył niegdyś w pałacu, a żona jego była także panną służącą. Nie zapomniał również, co mu nieboszczyk ojciec opowiadał, że za dawnych czasów, jedna połowa szlachty rządziła, a druga tejże służyła. Służba u szlachcica nietylko nie poniżała, przeciwnie, przynosiła zaszczyt. Za to służba u nieszlachcica równała się zniewadze. Jak we wszystkich społeczeństwach mało rozwiniętych, szło tu nie o treść rzeczy, lecz o formę. Szlachetka brał chętnie bizuny, byle z rąk możniejszego, niż on szlachcica i na dywanie.

Uszczęśliwiony łaską pańską, Jacenty ucałował rękę hrabiego, do kolan mu się skłonił, a wróciwszy do domu, przywołał Hilcia, żeby mu opowiedzieć, jakie go szczęście spotyka. Chłopiec wysłuchawszy, zaczął kręcić głową.

— Jakie ty miny stroisz! — ojciec zawołał. —

Zamiast mi do nóg upaść, a potem pójść do pana hrabiego i to samo uczynić, ten hultaj głową kręci, jakby mu się nie podobało, że będzie człowiekiem.

— Bo mi się nie podoba! — odciął rezolutnie.

— Nie podoba ci się?! — krzyknął ojciec i mimo lat podeszłych, w tejże chwili znalazł się w kącie izby, gdzie stały fajki. — Nie podoba ci się? — powtórzył, cybuch z fajki wykręcając.

Chłopiec ku drzwiom się cofnął.

— Pewnie że mi się nie podoba — odpowiedział — ja nikomu służyć nie będę!

Ojciec oniemiał, oczy na syna wytrzeszczył, z rąk wypadł mu cybuch...

— Ty służyć nie będziesz? — powtórzył, po chwili odzyskując utraconą przytomność, a z nią i energją. — A czy ty nie wiesz wisielcze, że takiemu paniczowi służyć, to honor!

— Może dla kogo, ale nie dla mnie. Ja taki dobry jak i on.

Tego panu Jacentemu było już za wiele. Grozą i oburzeniem przejęty, chwycił chłopca za rękę, a podniósłszy cybuch z ziemi, spuścił cały grad razów na plecy jedynaka. Hilcio wrzeszczał i dokoła ojca biegał, a ten sapiąc z gniewu wołał:

— Widzicie, jak mu się w głowie pomąciło!... Chodził do pałacu i teraz masz! Przeczuwałem, że tak będzie... Myśli, że z hrabiczem może żyć za pan brat. Tak, tak, pozwól świni w grzędy, ona myśli, że jej wolno wszędy!... Ty służyć nie będziesz?! Zobaczymy, czy nie będziesz! Skórę z ciebie łotrze ściągnę, jak psa zabiję!

— Choćbyś mnie ojcze zabił — powtórzył Hilcio, łkając — niczyim nie będę lokajem.

Ojciec, któremu się zdawało, że chłopie po tych cięgach skruszy się i ulegnie, usłyszawszy nową protestacją, cybuch wypuścił. W prawdzie po chwili chciał go drugi raz podnieść, aby dalej łamać opór wyrostka, lecz na szczęście Hilcia, ośmioletnia jego siostra, Zosia, usłyszawszy w ogro-

dzie, gdzie się bawiła, płacz brata, wpadła teraz do izby i sobą go zasłoniła.

— Nie, tatku, nie bij Hilcia! — zawołała przestraszona.

Ojciec, który dla córki miał więcej niż miłość, bo słabość, cofnął się do drugiej izby, gdzie kilka godzin przesiedział. Dopiero nad wieczorem przywołał syna do siebie i już spokojnie tak doń przemówił:

— Jesteś synem nieposłusznym i człowiekiem niewdzięcznym! Jeżeli nie pójdziesz zaraz do pana hrabiego i nie podziękujesz mu za łaskę, precz z mego domu, i niech cię więcej moje oko nie widzi! Wyrzekam się syna, który mi wstyd przynosi.

Chłopiec ojca w rękę pocałował, wyszedł do drugiej izby, związał w węzełek swoją bieliznę i suknie, przerzucił buty przez ramię i tak gotów do podróży, stanął znowu przed ojcem.

— A ty gdzie się wybierasz? — zapytał stary.

— Do szkół, do Przemyśla.

— Czyś zwarjował? Czy cię Pan Bóg odstąpił?

— Żeby ojciec nie sądził, że ja się szkoły boję, więc pójdę do Przemyśla i sam się uczyć będę, ale służyć nikomu nie myślę!

Ojciec wpatrzył się w syna i głową potrząsł; potem zbliżywszy się do szafy, wyjął zeń bochenek chleba czarnego i dał go synowi, mówiąc:

— Niech cię Bóg prowadzi!

Pan Jacenty należał do tych ojców starego autoramentu, którzy byli tego zdania, że syn powinien ojca bać się, nie kochać. Gdy raz co synowi powiedział, nigdy słów swych nie cofał, to też, lubo że mu teraz serce pękało, nie okazał najmniejszej słabości. Pozwolił mu ucałować najprzód rękę swoją, potem kolana, lecz sam ani spojrzał na niego. Dopiero gdy jedynak był już za bramą, przywołał Zosię, która gorżko płakała, a dając jej trzy talary z portretem Marji Teresy, rzekł:

— Wynieś mu na drogę.

Dziewczę nieco pocieszone wybiegło, a starzec usiadł pod piecem i głowę zwiesił na piersi.

W tym czasie za bramą odbywało się między rodzeństwem ostatnie pożegnanie. Brat wziął siostrę na ręce, a ona mówiła, gładząc go po twarzy:

— Ucz się, Hilciu, dobrze i pisuj do Zosi często... pan organista zawsze mi twój list przeczyta, a jak się już nauczysz, to potem wrócisz i będziesz Zosię uczył. Prawda, Hilciu?

Mówiła pieszczotliwie i tak się doń tuliła, że brat rozpłakał się na cały głos; bojąc się jednak, by go kto nie zobaczył, ucałował raz jeszcze siostrę, postawił ją na ziemi i cwałem pobiegł na drogę.

Pan Jacenty siedział ciągle pod piecem i ciągle sobie zadawał jedno pytanie: Co się stało z moim chłopcem?

Poczciwy szlachcic nie wiedział, że jak ziemia nie stoi na jednem miejscu, jeno ciągle się obraca, tak i ludzkość bez przerwy się porusza. To co wczoraj uważali za prawdę, dziś za błąd poczytują, i kto wie czy prawd dzisiejszych, świat jutro nie potępi. On i jego ojcowie służyli panom wiernie nazywając to cnotą — a oto syn nie chce już służyć, mówiąc, żeby mu to ubliżyło. Widocznie w jednostce zaczęła budzić się godność, której nie znali ludzie dawniejsi. Ale kto wlał nowe pojęcia w tego wyrostka, który dotąd nie miał jeszcze ani czasu, ani sposobności zasłyszeć, jakie prądy zaczęły w społeczeństwie nurtować? Alboż jest filozof, któryby zbadał wszystkie prawa światem rządzące, któryby wszystkich skutków znał przyczyny, któryby mógł jasno określić, w jaki sposób wiatry cywilizacyjne ziarna postępu nawet tam zanoszą, gdzie słowo postęp jest nieznane? W dniu, w którymby człowiek to zbadał, przestałby być człowiekiem, boby został Bogiem.

VI.

Hilcio dotrzymał przyrzeczenia. W tydzień po wypadkach wyżej opowiedzianych stanął w Przemyślu z zawiniątkiem i butami na plecach, a dwoma talarami w kieszeni. Trzeci, wraz z chleba bochenkiem wyszedł na drogę.

Inne to były stosunki w owych czasach, niepodobne do dzisiejszych. Młodzież dopiero zaczynała do szkół się garnąć, więc wyglądała jak owi koloniści amerykańscy, którzy na ziemi im obcej, wśród gór, rzek i lasów, mają budować sobie przyszłość! Niepewność i obawa wytwarza zawsze solidarność, to też i młódź ówczesna łączyła się, gromadziła, wspierała. Bogatsi tulili do siebie uboższych, ubodzy łączyli się po kilku, czasem po kilkunastu, i żyli jak mogli.

Zaledwie Hilcio wszedł do miasta, nawinął się Icek rudowłosy, jak się sam nazywał „faktor wid wszystkiegi“, który wypytawszy chłopca zkąd i po co przychodzi, za kilka groszy zaprowadził go do pewnego domu pod górą zamkową, w którym mieszkali prawie sami studenci. Tu w ciągu godziny nasz bohater zakwaterował się jak u siebie. Kolonja, w której się znajdował, składała się z synów księży ruskich, szlachciców zagrodowych, ekonomów i leśniczych. Była to więc dziatwa biedna, ale ponieważ ich rodzice niedaleko Przemyśla mieszkali, więc raz na tydzień, zawsze w dzień targowy, studenci otrzymywali z domu przeróżne wiktuały, z których cały tydzień żyli.

Za dwa pokoiki które odnajmywał jakiś biedny urzędnik magistratualny, płacili razem trzy talary, za co mogli także korzystać ze wspólnego ogniska w kuchni. Ciekawy to był widok, gdy w południe stało na kuchni kilka, czasem kilkanaście garnuszków, w których chłopcy objad sobie gotowali. Ten przyszedł i groch sobie posolił, tamten wbiegł by kapustę zamieszać, inny niecierpliwił się ziemniakami, że mu się nie chciały ugotować. I mimo różnorodności temperamentów, mimo że w kuchni było ciasno, chłopcy godzili się i kochali, bo nic tak nie łączy, nie brata, jak niedola.

Hilcio mając na początek dwa bite talary, nie należał do najbiedniejszych. W owych czasach, taniość była nadzwyczajna, a potrzeby żadne. Porozumiawszy się więc z kolegami, zamieszkał między nimi jak równy z równymi i rozpoczął życie nowe, z którego sam sobie jeszcze sprawy nie zdawał. Gdy po niejakim czasie wyczerpały się jego kapitały, koledzy, ktorzy go tymczasem szczerze pokochali, Hilcio bowiem był zawsze wesół i mimo biedy trzymał uszy do góry, dzielili się z nim objadami, dopóki pan Jacenty, zaciągnąwszy języka i przekonawszy się, że jedynak w rzeczy samej chodzi do szkoły, nie zaczął mu z domu, przysyłać chleba, krup, masła i słoniny, tudzież dwa bite na miesiąc, by miał z czego mieszkanie zapłacić i inne wydatki opędzić. Odtąd los Hilcia był świetny.

(C. d. n.)

Z Fausta Goethe'go.

(Małgosia siedzi samotnie przy kołowrotku).

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Gdy go przy sobie
Nie mam — jam w grobie;
Blask cały świata
Zémiewa ta strata.

W mej biednej głowie
Myśl bieży wspak,
W mej błędnej mowie
Spokoju brak.

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Li za nim z okna
Patrzę po drodze,
Dla niego tylko
Z domu wychodzę.

Ten wyniosły chód,
Tej postaci czar,
Uśmiech jego ust,
Jego oczu żar,

I jego mowy
Czarodziejski dar,
Ten uścisk ręki,
Ach! całusa żar!

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Tych marzeń tęsknie
Muszę się imać;
Gdybym go mogła
Ująć, zatrzymać!

U ust mu zwisnąć,
Ach! z nich rozkosz ssać,
I tak w omdleniu
Wiekuiście trwać!

Wincenty K.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Nareszcie rok 1874. przyniósł dzieło, które Flaubert sam uważał za najgłówniejsze i nad którem pracował lat 20; które daje najwyraźniejszą definicję jego ducha; odurzające dzieło. Kiedy się poraz pierwszy rozeszła pogłoska, że francuski romansopisarz napisał „Pokusę św. Antoniego“, z pewnością $^9/_{10}$ publiczności sądziło bez wahania, że tytuł należy rozumieć żartobliwie, lub symbolicznie. Któż mógł się spodziewać, że dzieło traktuje z całą powagą historję pokusy dawnego pustelnika egipskiego.

Czegoś podobnego nie próbował nigdy żaden romansopisarz ani poeta. Wprawdzie Goethe napisał „Die classische Walpurgisnacht“, Byron dostarczył wzoru do szczegółów w drugim akcie „Kaina“, Turgienjew w „Wizjach“ po mistrzowsku opracował na całkiem małą skalę z daleka spokrewnioną osnowę; ale dramat w siedmiu oddziałach, składający się z jednego monologu, a raczej zawierający tylko punktowane przedstawienie tego, co pewnej strasznej nocy przeszło w mózgu halucynującego człowieka — takiej książki przedtem nigdy w świecie nie napisano. A jednak to dzieło, chociaż chybione, ma w swej melancholijnej monotonji wielkość spokojną i piętno bezwzględnie nowożytne, jak mało poezji we francuskiej literaturze.

Święty Antoni stoi na progu chaty, na górze w Egipcie. Długi krzyż zatknięty w ziemi, stara pogięta palma schyla się nad przepaścią, a Nil tworzy jezioro u podnóża góry. Słońce zachodzi. Pustelnik znużony po dniu spędzonym w poście, pracy i umartwieniach; czuje więc, jak z nadejściem ciemności umniejsza się siła duchowa. Marząca tęsknota do świata napełnia mu serce. Nęcą i dręczą go wspomnienia, to lubieżne, to dumne, to znów sielankowo uśmiechnięte.

Najpierw tęskni za dzieciństwem, za Ammonarją, młodą dziewczyną, którą kochał niegdyś; przypomina sobie ulubionego ucznia Hilarjona, który go opuścił, przeklina życie samotne.

Ptaki wędrowne, ciągnące nad jego głową, obudzają życzenie ulecenia jak one. Ubolewa nad losem swoim, zaczyna się skarżyć i jęczeć. Dlaczego nie został spokojnym mnichem w celi, czemu nie obrał spokojnego i pożytecznego zawodu kapłana. Chciałby być gramatykiem, albo filozofem, celnikiem u mostu, bogatym, familijnym kupcem, albo dzielnym rześkim żołnierzem; wtedy mógłby użyć siły swego ciała. Rozpacza nad swoim położeniem, wybucha łzami, szuka pociechy, zbudowania w piśmie świętém. Ale w „Dziejach Apostołów“ znajduje miejsce, gdzie pozwolono Piotrowi jeść wszystkie zwierzęta, czyste i nieczyste, a on się nęka w ostrym ascetyzmie; w starym testamencie również czyta, jak żydom dane było prawo wszystkich nieprzyjaciół zabijać, rzeź między nimi urządzać, — kiedy on powinien nieprzyjaciołom przebaczać; czyta o Nabuchodonozorze i zazdrości jego uczt, — o Ezechjaszu, i wstrząsa się dreszczem od żądzy, na myśl o jego kosztownych wonnościach i skarbach złota, o pięknej królowej Sabie, i zapytuje, jak mogła pomyśleć o pokuszeniu mądrego Salamona — i zdaje mu się, że cienie, które ramiona krzyża rzucają na ziemię, zbliżają się do siebie jak dwa rogi. Wzywa Boga, i oba cienie zajmują napowrót dawne miejsce. Nadaremnie stara się upokorzyć; z dumą przypomina sobie długie męczeństwo; wzbiera mu serce na wspomnienie zaszczytów, jakimi go ze wszech stron obrzucają, sam cesarz trzy razy pisał do niego; potem widzi, że dzban na wodę stoi pusty, chleb pożarły szakale głód i pragnienie gryzą mu wnętrzności.

Przypomina sobie zazdrość i nienawiść, z jakiemi wystąpili przeciw niemu ojcowie kościoła na soborze w Nicei, i dusza woła o zemstę. Marzy o znakomitych damach, które go dawniej tak często wyszukiwały w pustyni, aby wyznać grzechy i błagać, o pozwolenie, iżby mogły pozostać przy świętym. Wpatruje się tak długo w te sny, aż się wydają rzeczywiste. Widzi delikatne panie z miasta, zbliżające się w lektykach; gasi pochodnię, aby rozpędzić te twarze i patrzy, jak dopiero teraz wyraźnie widzi na ciemnem niebie nocnem, jak szkarłatne obrazy na hebanie przebiegają w wirowym pośpiechu.

Podnoszą się głowy z ciemności, ofiarują mu kobiety stosy złota, wspaniałe potrawy. To jest początek pokusy, pragnienie zwierzęcych popędów. Potem marzy, że jest powiernikiem cesarza, pierwszym ministrem, że dzierży całą władzę. Cesarz koronuje go swoim dyjademem. Okrutnie się mści na wrogach, ojcach kościoła, brodzi w ich krwi, i nagle znachodzi się pośród uczty Nabuchodonozora, gdzie potrawy i napoje tworzą góry i rzeki. Namaszczony wonnościami i ubrany w drogie kamienie siedzi cesarz na tronie, a Antoni z oddalenia czyta na jego czole dumny polot myśli. Tak doskonale go przeniknął wzrokiem, iż nagle sam staje się Nabuchodonozorem, i w całym tym zbytku uczuwa potrzebę, stania się zwierzęciem, rzuca się na ziemię na czworaki i ryczy jak wół; rozdrapuje sobie rękę o kamień i obudza się. Biczuje się dla ukarania za tę wizję tak długo, aż ból staje się rozkoszą, i natychmiast ukazuje się przed kim królowa Saba, włosy ma obsypane niebieskim pudrem, obrzucone złotem, dyjamentami i oddaje mu się z dziką zalotnością; wszystkie kobiety w niej jednej; wie, że jeśliby palcem dotknął jej ramienia, wlałby mu się strumień ognia w żyły, stoi pachnąca wszystką wonnością wschodu, słowa jej dźwięczą jak przedziwnie sidląca muzyka, i z palącą żądzą rozkłada ramiona; ale opanowywa się i odpędza ją. Ona znika z całem swem otoczeniem. W tedy szatan przybiera postać dawnego ucznia jego Hilarjona, aby zachwiać go w wierze.

Mały, zwiędły Hilarjon zwraca uwagę ku jego utrapieniu na to, że on w fantazji zdobywa rozkosze, jakich odmawia sobie w rzeczywistości, tłumaczy mu, że Bóg nie jest Molochem zakazującym używania życia, że usiłowanie, aby Boga zrozumieć, więcej jest warte, jak wszystkie utrapienia. Ukazuje mu najpierw sprzeczności między starym, a nowym testamentem, potem sprzeczności nowego testamentu. I Hilarjon rośnie. Wynurza się w mózgu Antoniego przypomnienie wszystkich

kacerstw, o których słyszał i czytał w Aleksandrji i gdzieindziej, a które na pewien czas pokonał. Sto i więcej odszczepieństw pierwszych sekt chrześcijańskich, poglądy jedne potworniejsze od drugich, ryczą mu do ucha sami kacerze. Szczekają na niego, jak hyeny. Każdy z nich wylewa na niego swoją wściekłość. Kobiety histeryczne i kochanki męczenników rzucają się wyjąc na popioły zmarłych. Antoni widzi kacerzy, którzy się kastrują — kacerzy, którzy się rzucają w ogień. Appolonjusz z Tyru ogłasza się mu cudotwórcą nie ustępującym Chrystusowi. I Hilarjon rośnie coraz więcéj. Po kacerzach następują bogowie rozmaitych religji w ogromnym pochodzie, od szkaradnych i zabawnych bożków z kamieni i fetyszów drewnianych z najdawniejszych czasów, aż do krwawych bogów wschodu i pięknych bóstw Grecji; wszystkie przesuwają się przed nim aż każdy z nich z okrzykiem skargi wywraca kozła i spada w wielką nicość. Widzi bogów wpadających w omdlenie, innych porywanych wirem, jeszcze innych rozmiażdżonych, rozrywanych, spychanych w ciemną przepaść, bogów topiących się, rozpływających się w powietrzu, zabijających się. Pomiędzy nimi wznosi się Budda, który we wszystkiem co opowiada o sobie, ma najwyraźniejsze podobieństwo do Zbawiciela. W końcu Crepitus rzymski bóg trawienia, i Jehowah, bóg zastępów, robią skok w otchłań.

— Wtedy powstaje straszny spokój, głęboka noc.

„Wszyscy poszli precz“, rzecze Antoni.

„Ja pozostałem“ — głos odpowiada.

I Hilarjon stoi przed nim, jeszcze większy, przemieniony, piękny, jak archanioł, błyszczący, jak słońce, a tak wielki, że Antoni musi w tył głowę przechylić, aby go obaczyć.

„Kto ty jesteś?“

Hilarjon odpowiada: „Państwo moje jest tak wielkie, jak wszechświat, a żądza moja nie ma granic. Idę zawsze naprzód, uwalniając duchy i ważąc światy, bez bojaźni, bez współczucia, bez miłości i bez Boga. Nazywają mnie: wiedzą.“

Antoni się cofa ze strachem: „Tyś raczej szatanem“

„Chcesz go ujrzeć?“ Pokazuje się końska noga, djabeł bierze świętego na rogi i niesie go przez przestrzeń, przez niebiosa współczesnej nauki, gdzie światy są tak liczne jak pyłki. I widnokrąg rozszerza się wraz z myślami Antoniego „Wyżej, wyżej!“ woła. Nieskończoność przedstawia się jego wzrokowi. Trwożliwie zapytuje szatana o Boga. Ten odpowiada nowemi zapytaniami z wątpieniem: „Co nazywasz formą, jest może błędem zmysłów, co nazywasz substancją, urojeniem myśli. Kto wie, czy świat nie jest wiecznym strumieniem rzeczy i wypadków, pozór jedyną prawdą, illuzja jedyną rzeczywistością!“ — „Uwielbij mnie“ — zawoła nagle — szatan „i przeklinaj mamidło, które nazywałeś Bogiem!“ Znika, a Antoni budzi się leżąc plecami na brzegu skały.

Ale zęby mu dzwonią, jest chory, nie ma już ani chleba, ani wody w swej chacie; hallucynacje rozpoczynają się na nowo. Gubi się w tłumie zwierząt bajecznych, fantastycznych potworów ziemi. Znachodzi się na brzegu między mieszkańcami i roślinami morza i lądu; już nie może zwierząt i roślin rozróżnić; miesza państwo roślin i kamieni z państwem ludzkiem, dynie wyglądają jak piersi kobiece, babilońskie drzewo Dedaim wydaje jako owoc głowy ludzkie; krzemionki są podobne do mózgów, dyjamenty błyszczą jak oczy. Uczuwa panteistyczną żądzę zlania się z całą naturą i oto jest jego ostatnie wykrzyknienie:

„Chcę lecieć, pływać, szczekać, ryczeć, wyć. Chciałbym mieć skrzydła, pancerz łuskowy, skorupę, dziób, wić się ciałem, rozdzielać się, być we wszystkiem, rozchodzić się jak zapach, rozwijać się, jak roślina, brzmieć, jak ton, błyszczeć, jak światło, ukrywać się we wszystkich formach i każdy atom przenikać!“ Noc ma się ku końcowi. Była to tylko nowa zmora. Słońce się wznosi, a na jego tarczy zaświeciło mu oblicze Chrystusa. — Tu ostatnia dyskretna ironja poety: Antoni czyni znak krzyża i rozpoczyna znowu przerwaną wizjami modlitwę.

(d. n.)

Mrzonka studenta.

(humoreska)

napisał

A. S.

I.

— „Ach! jak ja ją kocham!... jak ja kocham!“ szeptał młody chłopiec siedząc nad gramatyką grecką, przy czem podparł się oboma łokciami i zasłonił sobie oczy. — Lampa oświecała blado studencki pokoik.

— „Co to za śliczna istota ta panna Zofia! — jakie włosy! jakie oczy! Czuję jak mi serce mocno bije. — A jednak nie wiem... jest mi ona wzajemną, czy nie?... To pewna, że jest bardzo uprzejma — ale czasem, czasem to tak się dziwnie przecież uśmiecha, jakby się śmiać chciała. — Naprzykład wtedy gdym jej dał takie, śliczne obrazki do odbijania — jak ona to mile przyjęła, a jednak popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby szydziła ze mnie i czuję jakem się okropnie zarumienił. — Ale ta Józia, to także nieznośny smarkacz! Ledwo ma to siedem lat, a jak zaczęła krzyczeć „Dla kogo pan schował to ciasteczko, co panu Zosia dała?“ — A i ten pan Władysław coś się zanadto koło niej kręci a może już co między nimi zaszło?

— „Panie Kazimierzu! czemu pan tak długo siedzi przy lampie?“ woła gospodyni pani Gumolska, u której stał na stancji.

— „Ale bo ta gramatyka!“ mruknął nieco przestraszony Kazio; i zaczął mruczeć wyrazy z gramatyki greckiej — „aoristus używa się“...

Na obliczu biednego studenta wystąpił wyraz ogromnego niezadowolenia — a z tym wyrazem nie było mu bardzo do twarzy, gdyż i tak natura obdarzyła go facjatą pospolitą, gulkowatym nosem, szeroką gębą i małemi czarnemi oczami.

— „Ach ta piąta klasa!“ mruknął — I znowu począł dumać i dumać, głowa zsunęła się aż na gramatykę grecką i wreszcie sam się nie spostrzegł, kiedy zasnął twardo.

Gdy się ocknął była już szósta rano. Sam nie wiedział kiedy całą noc przespał.

„Ależ bo te profesory męczą okropnie te biedne dzieciaki!“ mówi na drugi dzień pani Fafulska, stara sługa domu — „toż to biedactwo do szóstej godziny nad książką siedziało; a już i tak wygląda, jak wymokłe kocie.

II.

O kłamcy! kłamcy! którzy chcecie twierdzić, że dość podłożyć książkę pod poduszkę, a wszystko wlezie do głowy — gdzie tam! to istna nieprawda. Kazio spał całą noc na gramatyce, a nic mu do głowy nie wlazło. — Kazio poszedł do szkoły, ale był to feralny dzień. — Zaraz z pierwszego przedmiotu t. j. z greki oberwał trzecią i z innych nie lepiej poszło.

Wrócił do domu zły i zmartwiony — „To wszystko dla niej“ myślał, „ale co to!

„Wiesz co Kaziu?“ rzekła mu na wstępie pani gospodyni „jesteśmy zaproszeni“.

— „Gdzież to proszę pani“? spytał wpół ciekawie.

— „O będziesz się bawić, dziś idziemy na ślub panny Zofii“.

— „Panny Zofii!?... rzekł Kazio przeciągle — i wleciał do swego pokoju, padł na kanapę i rzucił książki, które się na ziemię rozsypały. „Ach! ona! ona! nie-

wdzięcznica! to to za moje... ach! za kogo? za tego pana Władysława adjunkta sądowego! ach to okropne!“... i łzy mu w oczach stanęły. „Ale ja pójdę, tak pójdę i powiem jej, powiem wszystko... niech wie jak strasznie... i urwał... bo nie wiedział, co dalej mówić.

Objad nie smakował mu wcale. — Wieczorem o siódmej zebrał się i poszedł z panią Gumolską do kościoła, gdzie zajął miejsce przy samym ołtarzu.

Kościelny kończył już oświecać kościół. — Tłum ciekawych utworzył długi szpaler od drzwi wchodowych, aż do wielkiego ołtarza; niektórzy powyłazili na ławki.

Wnet rozległ się turkot powozów, trzask z biczów i rżenie koni.

„Już jadą!... już jadą!“ zaczęli szeptać zgromadzeni — i jedni wystawiali głowy z szeregu, drudzy w pół się zginali, a stojący wspinali się na palcach i wytrzeszczali oczy, jakby się przygotowywali do połknięcia panny młodej, która też w krótce weszła do kościoła, prowadzona przez dwu drużbów.

— „Ach panie! uważaj pan! takeś mię pan nazdeptał! woła gruby jegomość kładąc na „z“ syczący nacisk,

— „O! przepraszam! Bąka przestraszony kawaler i bojąc się dalszych wyrzutów, cofa się w tył i znowu depce i tratuje osoby z stylu stojące·

„Ależ mój panie!...“ „Och! a to jakaś niezgraba!“ odzywają się głosy z oburzeniem, ale on nie pyta; kontent, że już wydostał się z tłumu, czemprędzej ucieka za filar i powoli po cichu wyłazi na ławkę i jeszcze się wyciąga, bo tłumy gości całkiem widok zasłaniają.

„Popatrz! popatrz! jak śliczna!“ mówią dwie panie. — O! psiakr... — ale ci!... syknął z podziwem jakiś kawaler, a wszyscy zaglądają w oczy, radziby wszystko wyczytać co tam w duszy panny młodej — Ale ona na przekór wszystkim, albo spuszcza oczy, albo patrzy w prost przed siebie, a ciekawi znów robią swoje uwagi. —

Ale nie ma co mówić Kazio miał słuszność — panna Zofia była jednem słowem śliczna. — Średniego wzrostu, ale wiotka i zgrabna, mogłaby zakasać piękną figurą wszystkie obecne panny, — Oczy czarne jak węgle, teraz matowe nieco rozmarzeniem i włosy czarne, pięknie ustrojone wiankiem i welonem białym, długim, na którym były poprzyczepiane małe bukieciki z pączków róż. — A brew!... a usta! a nosek! nie grecki wprawdzie, ale tak foremny jak może żaden ze starożytnych, a bródka okrągła... a!... ale co to opisywać istna rusałka, przyszła na świat, by jeszcze i przy ołtarzu ludzi czarować!

Doszła do jego stopni i stanęła. — Podniosła oczy, zobaczyła panią Gumolskę i z lekka się do niej uśmiechnęła. A Kazio? Ach on nie wiedział co się z nim działo; krew mu biła do głowy, w oczach mu migało — on oprócz panny młodej nie widział nic — pchał się coraz bardziej naprzód, aby go mogła zobaczyć; ale panna młoda go nie widziała — była czem innem zajętą. Panowie drużbowie z cicha coś do niej szeptali, ona się im uśmiechała —

Ach ten uśmiech; zachwycał biednego Kazia i sprawiał mu męki niesłychane. —

Za panną młodą szedł pan młody, prowadzony przez dwie drużki, młode podlotki; które trzymając go z obu stron wesoło szczebiotały. — On im się dobrotliwie uśmiechał. Pan młody był człowiek lat trzydziestku kilku, blondyn, nieco łysy, z wielkimi wąsami i siwymi oczami, a tak dobrym wyrazem twarzy, iż naprzód można było przewidzieć, że będzie mężem posłusznym i wyrozumiałym.

Dalej szli goście i krewni parami. Rodzice młodych stali zaraz z tyłu. Panią sędzinę, grubą i otyłą kobietę ciągnął pod rękę chudy jakiś, ale wysoki jegomość, pochyliwszy się jakby taszczył jaki wóz ciężko obładowany.

Pani sędzina czuła dobroczynny wpływ jego opieki, gdyż sama, jako osoba znacznej objętości była mało ściśliwą i nieprzepchałaby się nigdy sama przez tłumy. Za to sapała za siebie i za troskliwego kawalera, któremu pot rzęsisty lał się z czoła Dalej szły panie już mniej przestronne, ale ubrane, aż w oczy ćmiło. Były niektóre starsze pewno dochodziły do trzydziestu kilku po odtrąceniu siedemnastu lat panieńskich, które nie w chodzą w rachubę. Wszystkie były wygorsowane dość dobrze, a nawet może za dobrze, bo nawet stary pan radca stojący z boku aż cmoknął, a żona jego srogo mu w oczy spojrzawszy, w bok się odwróciła. Za niemi panienki młode, którym już nie potrzeba było nic odtrącać, gdyż rzeczywiście niektóre nie miały i szesnastu lat.

Jedne z powagą i z dumą, mrużąc oczy, kroczyły przez kościół, inne skacząc jak żabki, śmiejące się i wesołe — a jedna biegła tak prędko, że kawaler jej towarzyszący pan auskultant bezpłatny, usiłując ją dogonić zaplątał się w dywanie i chrymnął jak długi

Łoskot odbił się echem po murach kościoła, a goście ze strachem poczęli spozierać na sklepienie, bo myśleli że może cegła jaka usunęła się i spadła. — „Ależ to chrymnął!“ szepnęła z cicha młoda panienka do matki.

„Musiał się bardzo potłuc“ odrzekła mama — pan auskultant już wstał, był czerwony, miał łzy w oczach, czy z bolu, czy ze wstydu. — Spojrzał z wyrzutem w stronę mówiących.

Niektórzy nastrajali minę do śmiechu, inni psztykali za plecami; ale pan auskultant, jak się zerwał, tak i zniknął, a ceremonia już się rozpoczęła. Chór przespiewał swoje, ksiądz pobłogosławił, państwo młodzi oświadczyli, że mają wolę i zaraz poczęto wychodzić z kościoła. Pan organista popisywał się przy wychodzie piękną polką. Pierwsze pary wydostały się z kościoła dość szczęśliwie, ale następnie widzowie zachowując porządek zwany galimatiasem tłumili się, popychali, cisnęli, a który był już blisko drzwi, to wylatywał, a nie wychodził, tak dzielnie popierano z tyłu.

Jeden jegomość nawet podczas tej ewolucji, rozbił sobie nos na kamieniu, złamał laskę, stłukł kolano, umalował twarz na czarno i zgubił cylinder; na szczęście chwycił go i zmykł, by go jeszcze co gorszego nie spotkało.

Kazio z panią Gumolską wyszli prawie przy końcu, wsiedli do fiakra i udali się na zaproszony bal.

III.

Stara klucznica pani Anyżowska, wraz z kilkoma życzliwemi sąsiadkami, wszystko przygotowały. Z początku mały podwieczorek, potem trochę tańczono, aż do dziewiątej — a wreszcie wieczerza. — Istna uczta królewska!

Kazio zmachawszy się trochę przy tańcu, zabrał się na serjo do jedzenia i picia. Widok panny młodej drażnił go okropnie, to też jadł i pił bez zaprosin chyląc jeden kieliszek po drugim. Pito zdrowia. On pił je również, ale nie wstawał.

Szczęście że nikt na niego nie uważał, ale to go tem bardziej złościło. Daremnie jego młoda sąsiadka, panienka z konwiktu sławnego we Lwowie usiłowala zwrócić jego uwagę na siebie. On nie widział nic, nie słyszał; zajmywała go tylko panna młoda i tal rz

Otóż to młodzież!“ myślała biedna dziewczynka, „ani pomówić, ani... ach! jak on okropnie gębę otwiera!“ i z pewnym przestrachem usunęła się cokolwiek. Biesiada trwała cztery godzin; rozmawiano, żartowano. Gwar był ogromny wszyscy prawie kierowali swe oczy i dowcipy do panny młodej. Ale było między gośćmi kilka

par szczęśliwych, które podczas tego gwaru słodko gruchały. To ona spuści oczy, zarumieni się, a on na nią wciąż patrzy. Coś jej powiedział, ona roześmiała się i spojrzała na niego,.. teraz na jego twarz występują lekkie róże. Ci się jeszcze bawią; ale druga para obok nich to tak melancholijnie przewracała oczami, że prawie tęczówek im widać nie było. On na nią zawróci oczy, to ona w bok, on w bok, to ona na niego, i tak było do końca uczty. Tu mówiły wszystko oczy, bo usta były zamknięte; otwierały się tylko przy jedzeniu. Pomiędzy daniami były przestanki. Kazio kładł wtedy nóż i widelec i odpoczywał. Patrzał wciąż na pannę młodą, która mu się kilka razy mile uśmiechnęła.

„Nie! ja muszę jej powiedzieć! myślał sobie — byle tylko to się skończyło— Wreszcie skończyła się i bieda — Poczęto całować rączki, dziękować, kłaniać się, suwać nogami, a następnie opuszczono jadalnię i udano się do bawialnego pokoju, gdzie też miały się na nowo tańce rozpocząć.

Kazio wstał z trudem, bo wino było mocne i poszedł do bocznego pokoju, gdzie głęboka ciemność panowała.

„Ona musi tędy przechodzić! tu jej powiem!“ Właśnie los chciał, że pani Anyżowska przechodziła przez pokój.

— „Pani“ szepnął Kazio łapiąc ją za rękę.

— „Ach! kto taki?“ krzyknęła przerażona.

— „To ja“

— A! to pan? cóż pan chce?

— „Pani ja nie wytrzymam, ja muszę! szepnął niewyraźnie młodzieniec.

— „Ach cóż to jest? zlituj się pani!“ Ale jej już nie było. Kazio widząc, że przedmiot jego napaści gdzieś uszedł, wrócił z gorzką miną do salonu — Panna młoda, która również była na chwilę wyszła, weszła w tej samej chwili — Kazio spojrzał na nią wzrokiem okropnym — chciałby ją w tej chwili nim zabić. Ona na niego patrzała przyjaźnie. „Może by pan się napił lemoniady? zapytała — „Dziękuję! rzekł sucho — Pani Zofja odwróciła się i wnet rozpoczęła tańce z panem Władysławem.

„Ach! fałszywa! i ona tak, jakby między nami nic nie zaszło!“ mruknął Kazio— i w tejże chwili postanowił się zemścić, postanowił pannę młodę ani razu nie prosić do tańcu — „Niech wie, że mię nie obchodzi“ myślał i zbliżył się do swej sąsiadki, którą przy uczcie tak ignorował.

Zaczęto grać polkę. W szalonym wirze pary zaczęły się kręcić po sali. Kazio upojony winem i tonami muzyki kręcił się również, lecz przy tańcu powstał silny zawrót głowy. Tancerz począł tracić takt, nogi zaczęły mu się plątać, nieuważny nadeptał pulchną nóżkę swej danserki. — „Ach!“ krzyknęła poszkodowana. On przestraszony chciał się wydobyć z tłumu zrobił jeden krok dłuższy, pośliznął się drugi raz, już!.. już!.. byliby upadli, gdyby nie interwencja jakiejś pary, która ich powstrzymała.

— „Proszę pani, ja bardzo przepraszam, ala tak mi się głowa kręci!“ zabełkotał i zostawiwszy danserkę na środku sali, sam wrócił na swe dawne miejsce. Panna młoda tańczyła ciągle wesoła. Siedział więc chmurny przez cały wieczór, — Lecz na piąto-klasistę nikt nie uważał wiele — oprócz nieszczęśliwej danserki, która obrażona od czasu do czasu brzydkiem oczkiem na niego spojrzała.

Już świtało gdy wrócił do domu — rzucił się na łóżko...

„Ach niezrozumiała mię! nie zrozumiała! myślał przypominając sobie ciemny pokoik. „Co to znaczy być niezrozumianym.. o! Boże!.,. i począł chrapać.

Pan Kazimierz od owego dnia zabrał się do książki widząc, że jego mrzonki znikły. W parę lat zdał maturę, jest teraz na prawach i nieraz ze śmiechem, lecz i z pewnem zadowoleniem przypomina sobie swoje studenckie miłostki. Scenę w pokoiku wyjaśniła mu w parę dni po balu stara klucznica pytając się „Co panicz wtedy chciał odemnie?“ Eee!“ odpowiedział i zwrócił się zarumieniony. I z tego śmieje się nieraz serdecznie; żal mu tylko biednej panienki, której nogę nadeptał, tem bardziej, że teraz bardzo wyładniała, a on się obawia, czy przypadkiem nie pamięta owego fatalnego balu.

Europa w XX. wieku.

Niespełnionem nigdy pragnieniem ludzkiego serca jest przewidywanie dalszej przyszłości w jej pozytywnych kształtach. Każdy z nas radby zerwać zasłonę, kryjącą losy naszych potomków. I poeci też usiłowali odgadnąć zagadkowe myśli sfinksa, strzegącego progów przyszłości. Nigdy chyba jednak pokusa skreślenia stosunków życiowych przyszłych pokoleń nie kołatała równie głośno w naszej piersi, jak we współczesnej epoce. Im bardziej w dziedzinie myśli zaspakajamy naszą ciekawość, tem ona żarłoczniejszą się staje. Wszak każdy dzień przynosi nam nowe zdobycze i naukowe niespodzianki, a wciąż dążymy do nowych odkryć i do wyzyskania na swój pożytek sił przyrody. Co zaledwie przed lat dziesiątkiem zdawało się utopią, stało się dziś własnością naszą. Najzuchwalsze marzenia naszych pradziadów pozostały daleko po za zdobyczami drugiej połowy XIX stulecia. Gdy fakta te potęgować się będą postępowo, wtedy trudno by przewidzieć, jakie w przyszłości uskutecznią się przewroty w różnych społecznych stosunkach; może przyszłość zniesie czas i przestrzeń, które dotychczas ścieśniają ludzkie pragnienia i dążenia.

Niemiecki humorysta Kurd Lasswitz usiłował w swych pięknych *Obrazach przyszłości* przedstawić, jak zdumiewające odmiany i udoskonalenia uśmiechają się śmiertelnym tej ziemi. Od chwili pojawienia się tej książki, rzeczywistość przyniosła nam nowości takie, że niepodobna obecnie naigrawać się nad przeholowanemi karykaturami cywilizacyjnych pragnień, ale raczej przyjąć należy jako dewizę, że „nieprawdopodobieństwo staje się faktem“.

Obecnie znów zjawił się francuz rysownik i zarazem literat z powołania, p. A. Robida i kreśli dzieło w rodzaju proroctw Lasswitza. Z ręki Edisona, Grahama i innych, niby śmiały chiromanta przepowiada przyszłość. Przytem jednak rozsiewa tyle komicznych ziarn, że jednocześnie śmiać się musimy i mimowoli zapytujemy się, czy w samej rzeczy pewnego dnia przyszłość urzeczywistnić nie zdoła choćby najśmielszych wymysłów fantazyi pana Robidy.

Tytuł nowego tego dzieła jest: Roman d'une Parisienne d'apres—demain.“ który wyszedł nakładem Dentu w Paryżu. Ilustracje wykonał autor, a ołówkiem włada równie zręcznie, jak piórem. Na karcie tytułowej spostrzegamy damę w szacie francuzkich adwokatów, na głowie jej tradycyjny biret;broni ona właśnie sprawy; z miny jej odgadujemy, że chodzi tu o kwestję ośmieszonego równouprawnienia kobiet. Bohaterkę romansu tego Helenę Colobry widzimy tu na jednym z etapów jej życia jako adwokatkę. Wyrazy te: bohaterka, romans, nie mają tu swego zwykłego znaczenia. Bohaterka ta nie jest właściwie bohaterką, a romans nie jest romansem. Heleną Colobry posługuje się autor jako pozorem, aby żartobliwe swe pomysły o przyszłości uszeregować niby różańcowe ziarna. Nie może tu być mowa nawet o romansie w zwykłem francuskim tego słowa znaczeniu, Helena praktykuje jako adwokatka, dyplomatka, finansistka, dziennikarka i t. d.

We wszystkich tych zawodach nie zdradza uzdolnienia, to też ostatecznie dopływa do — małżeńskiego portu i łączy się związkiem małżeńskim z Filipem Ponto, synem bankiera Ponto, swego opiekuna. Oto wszystko. Fabułę tę możnaby skreślić w kilku wierszach. Fabuła jednak jest tylko powieściowym wybuchem, albo raczej sposobnością, która dozwoli autorowi wesołe jego pomysły ugrupowywać dokoła pewnej osoby; osobą tą jest właśnie owa Helena Colobry.

P. Robida bierze za punkt wyjścia pewne specjalne siły: jak elektryczność w ogólności, telefon, fonograf, maszyny, żeglugę nadpowietrzną, gorączkę spekulacyjną i równouprawnienie kobiet. W śmiałych swych przypuszczeniach buja autor i pojedyncze żarty tak dokładnie obrabia, jak gdyby o najświętszą chodziło powagę. Duch czasu jednak więcej jeszcze posiada honoru od tego, który się nad tą epoką naigrawa. Oto np. opowiada Robida między innemi o pewnej młodej parze, która wybiera się w podróż poślubną nadpowietrznym wehikułem. Przed laty w samej rzeczy odbył jakiś areonauta podróż poślubną balonem. Wobec podobnego faktu, trudno uważać opisy Robidy jako czystą farsę. Wprawdzie karykaturzysta przedstawia nam takie koziołkowe sceny, że mimowoli zauważyć musimy, iż najodleglejsza przyszłość nawet cienia z tego nie będzie w sobie mieściła, co Robida jako rzecz załatwioną uznaje.

Tak więc tedy rozpoczyna się rzecz w „Romansie pojutrzejszej paryżanki", r. 1952, więc niespełna w jedno stulecie od dnia dzisiejszego; mimo to rozprawiają tam o nas jakby o średniowiecznych narodach. Anachronizm ten można sobie jedynie w ten sposob wytłómaczyć, że w obec codziennie wyskakujących nowości, każda godzina więcej przynosi zmian i przewrotów niż przed tem lat dziesiątki... R. 1952. znajdujemy się w chwili, gdy zapomocą balonowego omnibusa, córki Ponta: panny Barbe, Barbanetta i wychowanica jego Helena powracają do rodzinnego Paryża z odległego liceum, w którem się wychowywały. Ojciec Ponto wraca w nadpowietrznym koszu z giełdy do domu. Pani wyszła na miasto, lecz w fonografie zostawiła wszelkie zlecenia i dość jest nacisnąć guzik, aby usłyszeć wszystko to, co pani domu wychodząc, do wnętrza instrumentu wygłosiła. W domu pana Ponto poznajemy starego wuja nazwiskiem Plangadec, który, jako do dawniejszego należący pokolenia, dziwi się, że podróż z Bretanii do Paryża odbyć można na pneumatycznej kolei w przeciągu trzech kwadransów. Jakkolwiek 1915 r. przebiegła ostatnia lokomotywa między Paryżem a Calais—obecnie mieści się jako osobliwość w muzeum Cluny—wuj Plangadec wciąż jeszcze rozprawia o tym nieistniejącym już komunikacyjnym środku. Areonautyczne omnibusy, helikoptery, pneumatyczne koleje, wszystko to mieni nam się w oczach, nie podobna nawet wobec tego oprzytomnieć, gdyż na każdej stronie tej książki spostrzegamy sensacyjną nowość. Do najbardziej dziwacznych reform należy i to, że szkolnictwo podlega gruntownemu przekształceniu. Oto wykładają np. „skocentrowaną literaturę". W kilku wierszach dowiaduje się uczeń w streszczeniu o dziełach poety; zamiast obciążać jego umysł wszystkiemi pisarza pracami. Dzieje się to w ten sposób np.: Homer, poeta grecki; rodzaj: poezja bohaterska; znaki szczególne: niewidomy. Pod murami Ilionu walczyli grecy lat dziesięć pod wodzą Menelausa, Ulissesa, Agamemnona i syna Peleusza, Hektor syn Pryjama poległ w bitwie..."

Wszystkie stosunki są czysto praktycznej natury. Szkoda czasu, gdyż czas to pieniądz. Pośpiech i komfort są najważniejszemi celami życia. Może nie wszystkie owoce XX. wieku będą się nam podobały. Nie zbyt nas zachwyci pani Ponto jako polityczna kandydatka, walcząca o kandydaturę ze swoim mężem; natomiast chętniej przyjmiemy wynalazek zwany: *Gazeta telefoniczna*, której nie potrzeba czytać—sama ona bowiem ustnie udziela nam wszelkich wiadomości. Czyni ona to, ile razy ważna wiadomość nadchodzi, czem znaczne oddaje usługi giełdowym spekulantom w rodzaju pana Ponto. Helena dowiaduje się z *Gazety telefonicznej* o małej nieprzyjemności; służąca jej bowiem zapomina podczas nocy zasunąć telefon i w skutek tego Helena, która poraz pierwszy usnęła pod rodzicielskim dachem, wciąż jest budzoną wiadomościami z różnych krajów. Doświadczeni zasuwają wieczorem telefon, a rano dowiaduje się wszelkich nowości *en bloc*, które w ciągu nocy zatelefonowano...

Poznajemy się tu z *Międzynarodowym hotelem*, w którym mieści się 10,000 gościnnych pokoi, jak również z *Pałacem uwięzionym* w powietrzu z bujającym również podług planu *café chantant*, podług planu którego w krótce urządzone zostaną domy mieszkalne. Kto lubi rozrywki udaje się balonowym omnibusem do „obłocznego pałacu"...

Pięknym również wynalazkiem jest „telefonoskop", który przesyła nie tylko głos mówiącego, ale i jego powierzchowność. W ten sposób nie tylko słyszymy, ale i widzimy ze znaczniejszej odległości. Wynalazek ten zostaje zastosowanym głównie w dziedzinie teatralnych widowisk, na podstawie wielkiego akcyjnego towarzystwa. „Uniwersalne towarzystwo telefonoskopowoteatralne" posiada w całym świecie sześć milionów abonentów i udziela teatralnym dyrektorom subwencje...

Oto pan Ponto i jego rodzina pragnęliby rozerwać się przedstawieniem teatralnem. Naradzają się tedy, jakąby sztukę wybrać? „I cóż dzisiaj przedstawiają w Wiedniu?" — zapytuje Barnabetta. — Zobaczymy np. w Operze: „Nibelungów" Wagnera. — „jak na Wiedeń, to trochę za późno. Zegar wiedeński wyprzedza paryski o czterdzieści pięć minut; jest więc teraz w Wiedniu trzy kwadranse na ósmą. Spóźniliśmy się". Ostatecznie rodzina Ponto decyduje się na paryskiego *Fausta*...

Zbyt przeciążylibyśmy uwagę czytelnika przedstawieniem różnych reform, jakim teatr ulegnie. Jedną z najważniejszych — pomijając operę — będzie to, że żaden teatr nie potrzebuje własnej orkiestry, gdyż jedna grać będzie sposobem telefonowym dla wszystkich, a nawet teatra nie potrzebują pod tym względem trzymać się ściśle jednej pory. Dzięki świetnej kombinacji, tony muzyczne zatrzymane będą, dopóki przez odkręcenie kórka tony te nie wypłyną... Słynni artyści w ten sposób grywać będą u siebie w wygodnym fotelu. Recytować oni mogą całe utwory, a abonenci przysłuchiwać się im będą... Istnieć również będzie tak zwany *Téatre retrospectil*. Znakomitości teatralne wygłaszają słynne swe role przed fonografem, tak, że role te nawet po śmierci artystów mogą być powtórzone. Rzecz prosta, że w ten sposób zakonserwowano świetne role Sary Bernhardt.

Obiad wydany u krewnych pana Ponto daje nam sposobność poznać niektóre domowe urządzenia. Nie potrzeba licznej służby, gdyż towarzystwa spożywcze zaopatrują swych prenumeratorów najlepszemi potrawami. „*La grande compagnie d'alimention*" wypieka dziennie 30,000 kur i gotuje 100,000 litrów bulionu. Wszystko dokonywa się na wielką skalę. Maszyna zastępuje rękę ludzką i to bez żadnej ze strony ludzi zachodów! Bulion płynie z rury jak dziś woda studzienna. Karty, głoszące o najmie mieszkań, zawiadują zarazem, że „wszystkie piętra zaopatrzone są w zupę".

Zręcznie przeskakuje autor z jednego szczegółu do drugiego. To też z trudnością możemy za nim podążyć. Przedstawia tedy nam następców *Bon marché*, magazyny na Trocadero o 15-górnych a 4-ch dolnych piętrach, obsługa wynosi 15,000 subjektów, składy zaopatrzone są w sypialnie dla klientów, którzy, za dnia nie zdoławszy załatwić

się z danym interesem, pragną następnego dnia sprawę załatwić.

Dalej zapoznaje nas autor z powietrznemi szlakami z tak zwaną *atmosferyczną żandarmerją*. Dalej z domami gry, umieszczonymi w pobliżu chmur. Następnie zstępujemy znów na ziemię i spostrzegamy jak rozpowszechniony humanizm przestępców nie w więzieniu osadza, ale raczej na łonie pięknej natury, aby doskonalili się pod orzeźwiającemi wpływami świeżego powietrza. To znów zaglądamy do mieszkań, gdzie nie spostrzegamy fortepianów, które umieszczono między osobliwościami w muzeach, gdzie zajęły miejsce obok gilotyn. Towarzystwo akcyjne dostarcza gotową muzykę. Zakładają w danym domu muzykę, podobnie jak dziś rury gazowe. Muzyka fortepianowa dla całego domu kosztuje rocznie 10 fr., skrzypcowa i flet 6 fr., klarynet 2 fr., 50 c. W przedpokojach zamiast służącego, znajduje się przyrząd meldujący przybyłych.

Znajdujemy się w towarzystwie Heleny, która szybko pożegnała się z adwokaturą, aby posłuchać kursów polityki, podzielonych na dwie klasy: na klasę opozycji i klasę rządzenia. Helena przepada przy egzaminie; ponieważ zaś wygłosiła mowę poselską wierszem, zauważył więc komisarz egzaminacyjny, że winna poświęcić się literaturze. Helena usłuchała rady i rozpoczęła swoją karjerę literacką kadydaturą do akademji francuskiej, do której przyjmują wedle dawnego zwyczaju. Składa tedy obowiązkowe wizyty akademikom, a następnie bierze udział w uroczystem posiedzeniu akademii, jako reporterka dziennika *Epoka*. Na posiedzeniu tem dokonywają się zadziwiające odkrycia historyczne. Dziejopis Felicjan Cadoul wykazuje, że Napoleon I. nie był właściwie żołnierzem, ale nader pobożnego usposobienia filistrem. „Pisarz zeszłego wieku Adolf Thiers“ — dowodzi dalej uczony p. Cadoul — napisał dzieje Alaksandra W. których księgarze nabyć nie chcieli dla tego, że dzieło nie ilustrowało faktów współczesnych. Pewnego dnia spostrzegł on wizerunek Napoleona na koniu. Przychodzi mu tedy szalona idea. Spieszy do domu, chwyta rękopism i przerabia dzieje Aleksandra W. na romans o Napoleonie I. Imię Aleksandra przemienia na Napoleona.

Robida przedstawiwszy w ten sposób akademję, która zawsze jeszcze jest ostatecznym celem ambicji wszystkich francuskich literatów — zapoznaje nas z dziennikiem *Epoka*. Na platformie redakcyjnego gmachu przy pomocy telefonoskopu widać wypadki, tak jak one dzieją się w odpowiednich miejscach i które to fakta specjalni sprawozdawcy komunikują. Jeżeli np. cesarz chiński odbywa przegląd wojsk, wtedy prenumerator *Epoki* z napowietrznego omnibusu przejrzeć się może przeglądowi i usłyszeć każde słowo komendy. *Epoka* nie jest pisaną, lecz telefonowaną. Dla tego też zdarza się, że romans zostaje przerwany nagle, z powodu chrypki autora. Abonentom zależy na tem, aby sami słyszeli głos współpracowników *Epoki*. Do najpospolitszych nowości należy i to, że wyścigi konne odbywają się w powietrzu. Konie zresztą, z powodu udoskonalonej lokomocji, tuczone są jedynie na spożycie.

Największą niespodziankę stanowi dzień 2 kwietnia, 1953 r., w którym przypadają wakacje, powtarzające się co lat 10. Podczas wakacji tych rząd zostaje obalony, przed tem zapowiedziana rewolucja wybucha, a urządzona w tym celu Bastylla zostaje zdobytą i na zakończenie dymisjonowani ministrowie otrzymują dożywotne pensje, jako członkowie izby zaufania. W ten sposób niesforny duch francuski może znaleść ujście dla siebie i spokój zostaje znów zapewniony na lat dziesięć.

Helena utraciwszy swą posadę w *Epoce* — nie spieszno jej bowiem było stanąć do pojedynku, czem naraziła sobie naczelnego redaktora — przeniosła się do świata finansowego. Dzięki tej zmianie, mamy sposobność poznać spekulacje pana Ponto i jego plany. Śmiały bankier przeistacza Włochy, które zakupił, *w park europejski* i jednocześnie założył podmorskie miasto. Pokusił się on całą Francję zamienić w towarzystwo komandytowe, którego wszyscy francuzi byliby akcyonarjuszami; plan ten jednak nie udaje mu się. Jako wielki „grunder“ pozostawał on w stosunkach z rządem. W towarzystwie jego zwiedzamy gmachy sądowe i dowiadujemy się tam, że prezydentem republiki jest automat. „Ręka która dzierży pióro“ — powiada Ponto — jest sztywną; można nią poruszać, potrząsać nią ona jednak pozostaje nieruchomą. W ręce tej umieszczono pióro tajemnicze... zupełnego bezpieczeństwa. Mechanizm jest straszenie skomplikowany, mieści on trzy zamki i trzy klucze. Prezes rady ministrów posiada jeden klucz, prezes izby drugi, i prezes senatu czyli „izby zaufania“ — trzeci. Potrzeba co najmniej dwu kluczy, aby w ruch wprowadzić mechanizm. Jeśli między prezesem ministrów i izby powstaje spór, zwołany zostaje prezes senatu, który kluczem swoim obraca mechanizm, wtedy automat podpisuje.

Mimo wszelkich starań pana Ponto, Helena nie czyni żadnych postępów w finansowości. Przy pewnej operacji bankierskiej, popełnia omyłkę na 745,889 fr. 75 centimów. Ta drobna pomyłka nakłania pana Ponto do przeniesienia Heleny do prywatnego życia. Ponieważ syn jego Filip z nią się żeni, mógł więc autor książkę zakończyć: ale nie chodzi mu koniecznie o *Pojutrzejszą Paryżankę*, to też w dalszym ciągu opowiada jakkolwiek Helena została już zapewnioną i usuniętą z opowieści...

Dowiadujemy się tedy, że w powietrzu znajdują się kuracyjne zakłady, że p. Ponto trzyma bardzo elegancki aeroyacht, i tym podobne zajmujące szczegóły z XX wieku zastępują miejsce ubyłej bohaterki,

Gigantycznemi, podobnie jak wszystko w tym wieku, są projekta pana Ponto. Nienasycony tem, że przeistoczył Włochy w park wesoły, zaludnia on Pompeję ludźmi antycznie przystrojonymi, których tryb życia taki sam być musi jak pompejan w 79 r. po Chrystusie. Wszystko zresztą ulega zmianie. Konstantynopol stał się najpierwszem kąpielowem miejscem w Europie, turczynki wyemancypowały się. Nawet do najrozleglejszych okolic Afryki przecisnęła się cywilizacja. „Ciemny kontynent“ posiada elektryczne oświetlenie i pneumatyczne koleje żel. jak Europa. W Zanzibarze, w Gandakoro, Tombuktu, Liyanti i t. d. znajdujemy parlamenty. Mieszkańcy Niacus-Niaus nie prowadzą już wojen dla zaspokojenia apetytu, dla pożarcia nieprzyjaciół, jak miłe barany...

Podróże tak bajecznie szybko się odbywają, że wszelnie zboczenie z drogi nic nie stanowią.

Rodzina Ponto, udając się do New-Yorku za interesami, robi drobną wycieczkę do czerwonoskórych. Rasy ludzkie również zostały zredukowane. Wspomnienia o dawnych czerwonoskórych znajdują się w specjalnych muzeach. Pozostałe potomstwo zatrzymało po swych przodkach jedynie tylko romantyczne imiona, które w każdym razie kontrastują z zajęciami tych ludzi. „Biały sęp“ jest portjerem we wspomnianym muzeum, „Oko królicze“ notarjuszem, „Szumiąca kaskada“ sprzedaje kiełbaski, „Giętka linia“ modniarką...

Po drodze przytrafił się naszym podróżnym wypadek. Podmorski yacht rozbija się o zanurzoną w morze torpedę, pasażerowie ratują się na sztuczną wyspę Nr. 124, jedno z owych schronisk, które dla morskich podróżników zostało urządzone. Po pewnym pobycie na Nr. 124, sztuczna ta wysepka odrywa się z kotwicy i płynie dalej. W ten sposób podróżni nasi dopływają do wysp polinezyjskich, których widok budzi w umyśle Filipa ideę do kolosalnego

przedsiębiorstwa. Za pomocą technicznych środków postanowiono zbić wszystkie te wyspy w jeden stały ląd. Będzie to szósta część świata, przezwana „Helenią“... W Taiti skomunikował się Filip telefonicznie ze swym ojcem, który ideę tę przyjmuje z zapałem i natychmiast przystępują do rzeczy.

„Uroczyste otwarcie nowej części świata, oznaczono na 1-go stycznia 1960. Spacerowe pociągi sprowadzać będą gości ze wszystkich krajów, przedstawicieli prasy i rządów aby obchodzić cudowne zwycięstwo pracy i nauki nad brutalnemi siłami oceanu.

Tą wiadomością kończy Robida swoją książkę pełną humoru. Mimo całej wesołości nieraz nasuwa się nam poważne pytanie: Gdzie zatrzyma się nowoczesny postęp w swoim biegu? Gdzie są osiągalne granice dla twórczego ludzkiego ducha.? Czy dzisiejszy sen nie przeistoczy się jutro w rzeczywistość.? Może przyjdzie czas, że wyraz „niemożliwe“ zostanie ze słownika wykreślony? Sam autor przy końcu książki swej poważnieje i z wysokości XX wieku usiłuje zajrzeć do XXI stulecia. Ponieważ jednak nie umie dać odpowiedzi, wraca do swojej wesołości, bo też śmiejąc się, najłatwiej nam dźwigać nasze losy. Rabalais miał słuszność: Śmiech jest właściwością ludzką.“

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Ponieważ Pan się już przedtem z nami umówiłeś, więc uważaliśmy za swój obowiązek, zostawić Panu pierwszeństwo. Jeżeli więc Pan sobie życzy, może pan nabyć to dzieło za 30 franków.

Bajolein zgłupiał. Nic jednak nie pomogło — na nic się nie zdały jego odwoływania się do zawartej już umowy—protestacje zaklęcia, — im więcej się irytował i bronił, tem wyraźniej i jaśniej dowodził swej gorącej chęci kupienia antyku; dlatego też kupcowa pozostała niewzruszoną. Biedny człowiek był w prawdziwej rozpaczy. Bez wątpienia kalendarz był dla niego książką nieocenioną, ale wydać 30 franków w jednym miesiącu! Trzeba będzie odmawiać sobie wszystkiego, taić się z tem przed Panią Muche — i oszukiwać zacną kobietę — to był właśnie najważniejszy szkopuł, który mu odejmował odwagę.

Przemógł się, i wyszedł pomału ze sklepu. Miał jeszcze nadzieję, że go zawołają. Gdzie tam! A jemu tymczasem za każdym krokiem przedstawiały, się w myśli to stara spłowiała okładka, to wielkie marginesy, słowem wszystkie uroki i powaby Jana de Tournes... który niestety nie należał do niego. Nie mógł wytrzymać. Wrócił i zapłacił żądanych 30 franków. W okamgnieniu ukrył swą zdodycz na piersiach za surdutem i uciekł jak człowiek, który zbrodnię popełnił. Wzburzony i do głębi poruszony tem nadzwyczajnem zdarzeniem, skierował szybko swe kroki do księgarni Brochata.

To była przyczyna, że ten wzór pilności spóźnił się tego dnia o pół godziny. Wszedłszy do sklepu i siadłszy przy biurku ,wsunął natychmiast swój skarb do szuflady, którą często otwierał, mógł zatem codziennie niezliczoną ilość razy cieszyć się klejnotem który był jego własnością. Gdy nadeszła godzina śniadania, Bajolein wsunął go znowu za surdut. Nieszczęściem, gdy wychodząc kłaniał się p. Brochat, książka wyśliznęła się z ukrycia i upadła pod same nogi pryncypała.

— Co to jest? zapytał p. Brochat synowiec.

— To — to — proszę Pana to — to jest książka.

— Ja to widzę dobrze — nie ma wątpliwości, że to książka...

Bajolein — nie wypieraj się... pan, zbierasz stare książki!

Bajolein spuścił głowę.

— Domyślałem się tego — mówił stary mruk — Pan masz wszystkie wady i zamiłowania starych kawalerów. Myślisz Pan może, że ja Pana nie widziałem kręcącego się często koło antykwarni. Strzeż się Pan, Panie Bajolein, takie namiętności rujnują ludzi i sprowadzają na złą drogę. Wierz Pan memu doświadczeniu.

— No a Pan przecież nie jesteś mimo to na złej drodze — odpowiedział nieśmiało Bajolein, probując się uśmiechnąć.

— Oh! ja się ożeniłem—i to mnie uratowało. Żeniąc się wyrzekłem się wszelkich egoistycznych przyjemności.

Bajolein zakłopotał się znowu. Księgarz tymczasem zapytał go już innym tonem.

— I cóż to właściwie za dzieło — które Pan masz? Wolno zobaczyć... Kalendarz historyczny Jana de Tournes! Bagatela! Nic więcej?

— O Panie Brochat — to trafem — bardzo szczęśliwie i tanio kupione.

Pryncypał tymczasem oglądał i wertował dzieło okiem znawcy i z lubością prawdziwego amatora.

— Zresztą — rzekł — oddając egzemplarz właścicielowi — nie mam prawa mięszać się do pańskich interesów. Pamiętaj tylko Bajolein, hamuj swoją namiętność! Nareszcie znalazłszy się na ulicy Bajolein odetchnął, tuląc do piersi swój skarb.

— Zdawało mi się już, myślał jeszcze ze strachem — że p. Brochat ma wielki gust na ten kalendarz!

O mój Boże — tyle wzruszeń w jednym dniu!

I jak gdyby przeznaczenie uwzięło się na niego, spotkała go w tej chwili nowa niespodzianka.

O kilka kroków dalej, P. Muche, obrócona tyłem do niego, oglądała wystawę jakiegoś handlu bławatnego. Spostrzegłszy ją Bajolein, zaniepokojony cokolwiek, przekonał się przedewszystkiem czy jego książka dobrze zakryta surdutem, następnie zaś nie czując się dostatecznie pewnym siebie, by przywitać Panią Muche — widząc jednak z jej postawy i ze słów niezwykłe w niej poruszenie jakieś, stanął na uboczu i obserwował ją z daleka.

Oddźwierna oglądała i próbowała w rękach materje rozłożone na ławkach w otwartych drzwiach magazynu. Ze szczególnem upodobaniam powracała zawsze do jakiejś wełnianki merynosowej koloru szczawiowo zielonego, która widocznie miała dla niej pewien urok pociągający, gdyż kobiecina nie mogła się od niej oderwać.

Subjekt z handlu zbliżył się.

— Jedyna sposobność! rzekł, po 4 franki metr. To prawie za darmo!

P. Muche zaczęła targować. Było widocznem, że p. Muche czuła w głębi serca nieodzowną potrzebę posiadania sukni koloru szczawiowo-zielonego — a jednak nie mogła postąpić do 4 franków.

Jej wyrazista brodawka dowodziła tego aż nadto.

— Jakie te kobiety dziwne — myślał Bajolein — nigdy nie mają dosyć tych gałganków, suknia merynosowa! Na co jej tego. Tymczasem ani subjekt nie chciał ustąpić ani Pani Muche nie zdecydowała się zapłacić żądanej ceny. Kupno nie przyszło do skutku. Jej ostatnie słowa były:

— To za drogo — i Bajolein widział jak odeszła.

— Ona widać także trafiła na swego Auvergnat'a.

Przewracając wieczorem kartki swego Jana de Tournes — przebiegał Bajolein w myśli wypadki tego dnia. A gdy się zastanowił, dlaczego P. Muche tak koniecznie pragnęła mieć suknię merynosową, szczawiowo-zieloną, przypomniał sobie, że za kilka tygodni ta dobra kobieta miała asystować

swojej siostrzenicy przy uroczystości pierwszej komunji. Teraz zrozumiał jej,zachciankę. O pół do jedenastej wieczór Bajolein zgasiwszy świecę, zasypiał z myślą o swoim kalendarzu.

— Ja go mam — a Pani Muche nie ma sukni.!

II.

Nazajutrz wieczorem p. Bajolein przyszedłszy do domu, kazał sobie dać grzanego wina, skarżąc się przed p. Muche na nudności, dreszcze i zupełny brak apetytu. P. Bajolein, jak wiemy, nigdy nie chorował, i wcale się nie pieścił, to też jego gospodyni mocno się zaniepokoiła tym wypadkiem. Na drugi dzień rano, wychodząc do biura, Bajolein tak zasłabł na schodach, że widział się zmuszonym powrócić na górę i położyć do łóżka. Pani Muche była bliską rozpaczy, posłała czemprędzej po doktora, narzekając na nieopatrzność swego pacjenta:

— Założyłabym się, że wczoraj łaził znowu za owemi książkami, nie zważając na słońce, ani na wiatr — musiał się przeziębić. Ci mężczyźni, to prawdziwie jak dzieci!

Przybyły lekarz skonstatował symptomaty gorączki tyfoidalnej — i nagryzmoliwszy jakieś receptę zabrał się do wyjścia.

— Ale to przecież nic niebezpiecznego? zapytała go P. Muche już w sieni.

Doktor nastroił poważną minę — wymijająca jego odpowiedz nie dodała bynajmniej otuchy już i tak wielce przestraszonej kobiecie.

Bajolein nie słyszał wprawdzie tej rozmowy z doktorem, musiał się jednak czuć gorzej, gdyż zmuszając się do uśmiechu, zaczął przepraszać gospodynię za kłopot jakiego ją nabawia swą chorobą.

— Moja poczciwa Pani Muche, mówił, widzę jaką Pani sprawiam przykrość. Nie zaprzeczaj Pani — wiem o tem dobrze — Ale cóż robić — wierz mi Pani, żem temu nie winien — sam nie wiem, skąd to przyszło.

— Eh! nic Panu nie będzie — odpowiedziała dzielna ta kobieta — jestto tylko lekkie zaziębienie — i nic więcej.

Czy to tylko nie zaraźliwe?

— Ale skąd!

— To dobrze, bo się tego najbardziej obawiałem. Ale tymczasem trzeba będzie oznajmić Panu Brochat o mojej chorobie i wytłumaczyć mnie. To zacny człowiek, ja go bardzo żałuję — chociaż czasami jest taki opryskliwy.

— Dobrze, pójdę sama do niego, a pan niech się tymczasem trochę przespi — ja spuszczę story...

— Ale jak pani zasłoni okna, to ja nie będę mógł widzieć moich książek!

— Właśnie też! Pan masz teraz spać a nie patrzeć na książki — rzekła gospodyni stanowczym tonem, jakiego sobie pozwoliła użyć ze względu na nadzwyczajne okoliczności i nie czekając przyzwolenia pospuszczała story. Po jej odejściu Bajolein zastanawiał się nad niesprawiedliwością na tym świecie. Ta poczciwa kobieta zasłużyła przecie na suknię merynosową, której tak pragnie.

— Ona jej nie ma — powtórzył — ja mam Jana de Tournes! I w tej chwili uczucia bibliomana zawładnęły nim zupełnie. Nie bez wysiłku wylazł z łóżka i powlókł się do swych książek. Na omack wynalazł ukrytego w głębi po za innemi Jana de Tournes, i drżąc cały z zadowolenia i zimna położył się napowrót chowając swój skarb pod poduszkę.

— Teraz będę mógł spać spokojnie, rzekł, układając się do snu.

I rzeczywiście wkrótce ogarnął go sen ciężki, chorobliwy, pełny gorączkowych widziadeł i marzeń. (d. n)

Przegląd literacki.

(Różni ludzie: Nowele i obrazki: przez Zygmunta Sarneckiego. Kraków 1883.

Kiedy malarstwo pędzla coraz bardziej rozszerza u nas ramy swych płócien, olbrzymie stwarzając obrazy, malarstwo słowa, powieść, uległszy ogólnemu w całym piśmiennictwie europejskiem prądowi,rzuca się z szczególną predylekcją do drobnych misternych studjów z natury. Jeżeli kiedy, to teraz rzeczywistością staje się paradoks Symonidesa: obraz — to powieść, powieść — to obraz.

„Powieść — to obraz“ w tych dwu słowach zawarta cała charakterystyka dzisiejszej literatury nowelistycznej. Realizm ostatnich dopiero lat dziesięć, szybko wziął górę nad wysilonym idealizmem. Jak ów Gallów przywódca nad bramami upokorzonego Rzymu, podnosi on dzisiaj tryumfalny okrzyk: *Vae victis*!

Nowela jest jedną z najwybitniejszych córek tego tryumfatora; sama jej nazwa dawnych poprawdzie sięga czasów, pojęcie jednak, jakie z nią się łączy, urosło dopiero pod wpływem prądu realistycznego. Zerwała ona zupełnie z teorją spekulatywną: nie siląc się wcale na stwarzanie ideałów, do których rzeczywiste kreacje naginać by potrzeba, podchwytuje nagą prawdę, aby ją na szkle sztuki odtworzyć. W samem nawet upięknieniu gardzi dawną modłą: renesansowe przeładowanie ozdób nie ma wstępu do jej wnętrza. Jak świątynia dorycka zachwyca nas ona powagą prawdy, a prostotą.

Zdawałoby się, że nic łatwiejszego nad stworzenie noweli. Nie ma miejsca na świecie, któreby nie porastało w temata nowelistyczne. Człowiek w tysiącznych najrozmaitszych swoich przejawach jest niejako nieustanną ich fabryką. I to każdy: grube dłonie drwala zasługują się w tej mierze na równi z powłóczystemi spojrzeniami pięknej mieszkanki salonów.

A jednak!...

Aby prawdę podchwycić, aby dopatrzeć, w jaki sposób wypadki o struny ludzkiego uczucia uderzają, w jaki sposób wywołują z nich melodją upojenia lub zgrzyt rozpaczy, jak wreszcie każdy z tych tonów wiąże się ze sobą, na to trzeba właściwego wzroku i słuchu estetycznego.

Czy posiada je p. Sarnecki? Przekonajmy się.

Jego r ó ż n i l u d z i e to dobrzy nasi znajomi; widujemy ich nieraz w naszem otoczeniu na ulicy czy w salonie.

Ten „Franeczek“ naprzykład ileż razy przesuwa się w kalejdoskopie naszych stosunków... Natura nie wysiliła się bynajmniej przy jego stworzeniu, chyba na garbek, który potężnie na barkach mu się rozsiadł. Użyciem wynagrodzić sobie brak innych przyjemności — oto jego dążność. Jakoż dzięki giętkiemu karkowi przy braku tego co sumieniem nazywamy staje Franeczek nareszcie u celu życzeń. Hula w Paryżu, imponując bulwarowym kokotkom, a tak sobie tam „dogadza“ że po powrocie, z łóżka podźwignąć się nie może. Rozpusta obala jego i tak wątłe ciało, pamięć zaś bezprawiów zatruwa ostatnie chwile tego nędznego żywota...

Nie wiele więcej zajmującym jest charakter pana Karola (*Niewolnik kupidyna*), który pośród rozkochanych par wychowany, w ośmnastym już roku życia „zapragnął dotknąć czary miłości, nieustannie koło jego ust krążącej“. Schwytany na romansiku z respektową panną, jedzie kosztem ciotki za granicę, gdzie w kole pięknych kobiet zapomina o starganem sercu biednego dziewczęcia. Naiwna Leosia umiera z tęsknoty, ale los mści się za nią na panu Karolu. Ożeniony z inną, dobrej tuszy, a energicznej ręki Leosią ma ciągłą sposobność do odpukutowania dawnych swych grzeszków...

Najsłabszą jest postać „Dolcia„, nicponia kształconego na znakomitego śpiewaka,

a wygwizdanego za niezgrabność już w pierwszym debiucie na deskach paryskiej „Wielkiej opery“. Niedoszła „wielkość“ kończy w Szarantońskim (Charenton) zakładzie obłąkanych.

Jeżeli *różni ludzie* męzkiego rodzaju nie wielu jaśnieją dobremi przymiotami, to kobietom w ich towarzystwo przez autora wplątanym, nie tylu brakuje zalet, ile szczęścia.

Nieładna, ale serdecznie (może nawet zanadto ckliwie) poczciwa „Terenia“ pada trupem ujrzawszy męża w objęciach mamki swego syna.?

Piękna „Salusia“ także niema szczęścia. Izraelitka, kształcona na nutach i żurnalach odpycha próżnią swego serca, tego który ideałem był jej marzeń. Biedaczka ulegając woli rodziców, wychodzi za brzydkiego, a bogatego kantorowicza, „Sali go nie kocha, ale ma malutką śliczną córeczkę którą ubóstwia. Uczy ją sama historji kraju rodzinnego i wiele rzeczy nie należących do wykładów na wyższych pensjach warszawskich“.

A czyż szczęśliwsza od niej „Aniela“? ta piękna dumna księżniczka, dobrowolnie skojarzona z człowiekiem którym pogardzać musi?

Jedna tyko „Marta“ na los swój skarzyć się nie może. Jako piętnastoletnie jeszcze dziewczę przyjęła na wychowanie znalezionego pod swemi drzwiami podrzutka. Była mu opiekunką, a kiedy wzrósł i w mężczyznę dojrzał, amorek zastawił na tę parę swoje sieci. Czy dacie wiarę? Pobrali się...

Śliczne! tylko czy prawdopodobne?

Nieprawdopodobieństwo to wraz z innymi częścią istotnymi, częścią upatrzonymi szwankami kreacji p. Sarneckiego dało krytyce pochop do zbyt ostrego o r ó ż n y c h l u d z i a c h sądu. T. I. Choiński nie wahał się im nawet odmówić l u d z k o ś c i życia. Wydały mu się za blade... Zola — twierdzi on — stworzyłby był z tych postaci typy o wiele potężniejsze. Nie wątpimy, ale ztąd jeszcze nie racja, aby potępiać wszystko, co utworom Zoli nie dorówna. Zola przecie pisuje czasem i recenzje lepsze pono od recenzyj p. Ch...

R ó ż n i l u d z i e, każdy bezstronny to przyzna, są w istocie l u d ź m i, jakkolwiek r ó ż n e m i... W ich postawach i działaniach nie mogliśmy się dopatrzeć braku psychicznej prawdy. Jedna może „Aniela“ za wiele ma w sobie ducha, za mało ciała...

Spokój, nazwany przez przyzwyczajonych do pieprznego Zoli sędziów — nudnym, gładkość wykończenia — będąca według ich zdania ręką mierności — są w oczach estetyki zaletą i my też poczytujemy je za dodatnią utworów p. Sarneckiego stronę.

Śmiesznym jest zarzut przez Choińskiego przeciw „Franeczkowi“ podniesiony. Franeczek nie jest w oczach jego nawet dobrym typem szubrawca, a to dla tego, że śmierć widząc przed sobą, o przebaczenie tych prosi, względem których zawinił. Konsekwencja zbrodni ma przecież także swą granicę, a zbrodniarz który nawet w tej strasznej chwili żalu nie czuje, byłby abstrakcją równie wstrętną, jak nieprawdziwą.

Słusznie atoli zarzucono p. Sarneckiemu brak fantazji. Wszystko to co w jego książeczce spotykamy, dysze życiem. W żyłach jego kreacji pulsuje nie sztuczny jakiś preparat, ale krew prawdziwa, a w ich ruchach nie podrygi manekina widać, jeno giętkość żywych członków. A jednak zyskałyby te obrazki na efekcie, gdyby trochę więcej z nich przebijała l' a r t p o u r l' a r t. Czy nie jest np. zakończenie „Tereni“, zbyt dla naszej publiczności, realnem?

Do ujemnych też stron policzylibyśmy pessymizm autora. Zasada sama wprawdzie uderzyła już p. Choińskiego niemile jako „tz. poczciwa tendencja“. My żałujemy, że autor wskazuje nam, czem b y ć p o w i n n i ś m y przez przedstawienie tego, c z e m b y ć n i e p o w i n n i ś m y. Czyż życie nie ma chwil jaśniejszych, czyż całe społeczeństwo składa się z samych tylko występnych lub nieszczęśliwych?

A jednak mimo tego wszystkiego *różni ludzie* zyskali uznanie, jeśli nie krytyków, to publiczności. Z przyjemnością przegląda się te obrazki wiernie z natury skopiowane. Autor nie goni w nich za tendencyjną jaskrawością, ale pióro jego umie wykwintnie malować... Jest tam życie, wdzięk, czasem i humor. A to już wiele... Gdyby tylko odrobinę mniej chmur posępnych, odrobinę więcej pogodnego nieba!...

Rossowski.

Przegląd teatralny.

Nora, dramat w 3 aktach Ibsena.

Jak człowiek, który po dłuższym pobycie w podziemnym lochu wydostanie się nakoniec z dusznej atmosfery, i z rozkoszą wdycha niezatruty strumień świeżego powietrza, tak widz na przedstawieniu Nory, uderzony został prądem zdrowszego powiewu, jaki tchnął z dramatu skandynawskiego pisarza. Przyzwczajeni patrzeć na utwory, których dramatyczność polega na konflikcie brudnych namiętności, a specjalnie na łamaniu wierności małżeńskiej, tematu, nad którym tak niezmordowanie się znęcają pisarze, osobliwie francuscy, zdziwieni zostaliśmy motywem świeżym wziętym z życia społeczeństwa zdrowszego i poważniejszego, aniżeli nasze. Nie goniąc za tradycjonalnemi efektami, potrafił autor podpatrzeć w zwykłem, domowem pożyciu, tak prosty, a mimo to, głęboki dramat.

Przedstawia nam małżeństwo na pozór szczęśliwe. Mąż egoista, człowiek rozumny, moralny, ale moralność jego nie przekracza praktyczności — żona, pieścidełko, pusta, lekkomyślna, chociaż szlachetna, idąca instynktownie za popędem serca. Nie jest to towarzyszka męża, która ma dzielić zarówno rozkosze jak i troski i trudy życia, ale zabawka, którą mąż niby kocha i pieści, bo taka ładniutka, wesoła figlarka. Ona czuje, jak poniżającą rolę odgrywa, ale niema czasu zastanowić się nad tem, zresztą po co, — jej i tak dobrze, ulega mężowi, zdaje jej się, że go bardzo kocha; pieści, a raczej bawi się dziećmi, jak zabawkami i czuje się szczęśliwą ze swego położenia.

Na jasnym horyzoncie tego szczęścia szarzeje jednak ciemna plama, która zagraża wzrośnięciem w ogromną chmurę, przysłaniającą pogodne niebo pożycia małżeńskiego. Do Nory przychodzi wierzyciel, od którego pożyczyła potajemnie przed laty na kurację męża znaczną sumę, sfałszowawszy podpis ojca na wekslu. Wierzyciel grozi wyjawieniem tego postępku, jeżeli nie zostanie za jej protekcją przyjętym do banku, którego dyrektorem mianowany został Torwald Helmer, mąż Nory. Torwald ani słyszeć nie chce o tym człowieku, którym się brzydzi, bo Krogstad, tak się nazywa wierzyciel, karany był więzieniem za sfałszowanie podpisu. Stanowczo odmawia prośbie żony. Nora drży na myśl, że Krogstad wyjawi jej postępek, gdyż wie, że chwila ta będzie kresem jej szczęścia.

Autor znalazł nowy motyw dramatyczny a tym jest sfałszowanie wekslu. Słyszeliśmy uwagi pewnej części publiczności, że motyw zanadto dziecinny, błahy, aby na jego podstawie dramat można budować. Oczywiście, nie dziwmy się wcale, zwłaszcza tym, którzy tak głośno wypowiadali swe zdanie. Bo jakże mogli pojąć, żeby podpisanie ojca na wekslu, mogło być motywem poważnego dramatu, skoro takie same a liczne operacje uchodzą w ich gronie za rzecz codzienną, a kończącą się w najgorszym razie, jeżeżeli „papie“ zawiele, ogłoszeniem w inseratach, iż takie weksle nie będą płacone. Ale w społeczeństwie, gdzie moralność surowiej jest pojmowaną, weksel taki poczytywany, jest nie samym kodeksem tylko, za zbrodnię.

Cała dramatyczność polega na konwulsyjnych prawie wysiłkach Nory, aby chwilę

wyjawienia jej czynu przewlec jak najdłużej. Helmer dowiaduje sie wreszcie o wszystkiem. Brutalnie czyni wyrzuty żonie, a w tych wyrzutach przebija się tylko jego miłość własna. Gdy zaś skruszony Krogstad zwraca mu ów! jałszywy dokument, unosi się radością, przebacza żonie, ale li dla tego, że jemu samemu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo.

Nora widzi przed sobą egoistę zimnego, bo nawet te pieszczoty wypływały z egoizmu a nie miłości; egoizm męża zabija w niej miłość dla niego, a te kilka chwil nieszczęścia obudziły w niej drzemiące pragnienie poważniejszego życia. Opuszcza go, opuszcza dzieci, aby poznać życie. Na zaklęcia męża aby nie zapoznawała obowiązków matki i żony, odpowiada, że pierwej musi poznać obowiązki człowieka. W naszem społeczeństwie żona nie, opuści męża, bo na to nie pozwoli dogmatyczny absurd nierozwiązalności, małżonkowie pozostaną ze sobą zatruwając sobie całe życie, przedstawiając dzieciom przykład obłudy lub skandalów. Dlatego i ten krok Nory nie był przez nasze społeczeństwo zrozumiany, a co więcej, był potępiony. A zatem i koniec dramatu odmienny od tylu znanych, przed naszemi oczyma przesuwających się utworów. Niema tradycjonalnego sztyletu, lub trucizny, jako narzędzi mszczącej się moralności, ani też małżonkowie nie padają sobie w ramiona z frazesem efektownym, w życiu nie mającym znaczenia. Cała więc atmosfera dramatu jest odmienną od naszej; aby zaś zrozumieć rysy obyczajowe, trzeba koniecznie stanąć na tym gruncie z którego sztuka powstała. Osoby dramatu oryginalne; mąż, żona, doktor, co z rezygnacją idzie umierać, i w przeddzień śmierci wyjawia swą bezinteresowną miłość, wierzyciel, który pragnie się podźwignąć i brnie coraz więcej w podłości, to postacie prawdziwe, pochwycone z natury. W całej sztuce znać metodę realistyczną ale spokojną, głęboką, opartą na głębszem wydobywaniu treści psychicznej, Dramatyzm tej sztuki wyraża się w formach prostych, akcja oryginalna ma efekta niezwyczajne, a jednak niesztuczne. Tę wadę chyba wytknąć można, że dwa pierwsze akty, za mało przygotowują pod względem psychicznym rozwiązanie dramatu, przezco akt III. zyskałby więcej ułudy i prawdopodobieństwa. P. Zapolska przedstawiła się lwowskiej publiczności po raz pierwszy jako Nora. Gra jej naturalna swobodna. Deklamacja bez przesady i patetycznego nastroju, rolę przeprowadziła ze zrozumieniem. A rola to trudna, bo obok wybuchów dziecinnej, szalonej wesołości, wydobywają się myśli poważne, które przekształcają dziecko w kobietę silną. Dziś powiedzieć możemy, że p. Zapolska ma wszelkie warunki na dobrą artystkę. Męża dobrze odegrał p, Woleński. P. Kwieciński z roli przez autora niesmacznie nakreślonej, zrobił nam niespodziankę. Biedny doktor wywołał współczucie; rola ta choć niewielka, należy naszem zdaniem do najlepszych p. Kwiecińskiego, słusznie też bardzo obdarzyła go publiczność kilkakrotnie oklaskami. P, Hierowskiemu również winniśmy oddać należne uznanie za rolę Krogstada: scena, kiedy Krogstad grozi wyjawieniem tajemnicy, należała do najlepszych w przedstawieniu.

Tumult.

ZIARNKA.

Delegaci towarzystwa tatrzańskiego zapraszają członków tego towarzystwa na ogólne zgromadzenie w d. 3. maja, którego celem będzie zawiązanie nowego oddziału z siedzibą we Lwowie i wybór zarządu tego oddziału. Oddział lwowski obejmie dziesięć powiatów, a to: Lwów, Bóbrka, Żydaczów, Stryj Turka, Staremiasto, Sambor, Drohobycz, Rudki i Gródek. Wszyscy dawni członkowie towarzystwa tatrzańskiego, którzy zechcą należeć do nowego oddziału, składać będą wkładki pieniężne już nie centralnemu Towarzystwu w Krakowie, lecz do zarządu oddziału we Lwowie. O ile słyszeliśmy, nowy oddział ma zamiar być dość ruchliwym; już teraz projektują członkowie na najbliższą przyszłość wspólne wycieczki w góry i umożliwienie publiczności pobytu w zdrowych okolicach naszych Karpat.

* * *

W ubiegłym tygodniu przedstawiono w naszym teatrze aż dwie nowości. Trzyaktową farsę p. t. Ulica Pigall Nr. 15. A. Bissona i operetkę Straussa p. t. Karnawał w Rzymie. O farsie francuskiej tyle możemy powiedzieć, że gdyby nie wypisane nazwisko autora, nieposądzilibyśmy wcale tego utworu o pochodzenie nadsekwańskie. Niema życia i werwy takiej, jakie cechują płody autorów francuskich. Sztukę ratowała staranna gra artystów pp. Kwiecińskiego, Zamojskiego i Wojdałowicza oraz p. Aszpergerowej; p. German musimy wytknąć szarżę, na którą lubi się puszczać ta artystka. O operetce Straussa pomówimy w następnym numerze obszerniej, dziś tylko zaznaczamy, że p. Bandrowski okazał wczoraj nadspodziewane postępy i obdarzony został od publiczności licznemi oklaskami.

* * *

Dn. 25. t. m. odbyło się w Szczercu walne zgromadzenie oddziału lwowskiego tow. pedagogicznego. Mimo, że wiosna prawdziwie galicyjska, nie pozwala mieć wyobrażenia o pogodnem niebie, zebrała się dość pokaźna liczba uczestników, tak ze Lwowa, jak i z okolicy. Pierwszy odczyt wygłosił p. Karol Rawer pt. „Ród i wychowanie króla Jana Sobieskiego". P. Godziewicz mówił o trudnościach, na jakie napotyka nauczyciel wiejski w wypełnianiu swych obowiązków i jak może je usunąć. Zakończył zaś p, Baranowski odczytem, pt. „Mickiewicz i Goethe, paralela pism i życia", a wykład zakończył wezwaniem do składek na pomnik Mickiewicza. Towarzystwo rozwija się bardzo skutecznie, o czem świadczą liczne zgromadzenia, tak sympatycznie przez obywatelstwo popierane.

ZAPISKI.

Literatura.

* P. M. Berson wypadkowo nabył w Amsterdamie książkę sławiącą Jana III. wydaną w dn. 15 listpada 1683. (we dwa miesiące po zwycięstwie) w języku hiszpańskim, p. t. „Tryumfy orła a zaćmienie księżyca etc." (Tryumphos del Aguila y eclipsos de la luna etc.") Książka ta, wielbiąca bohatera polskiego jest dowodem jednym więcej, że stolica Habsburgów jemu zawdzięcza ocalenie, choć niemcy zaprzeczyć się starają. P. Berson zamierza wydać tę książkę we wspaniałej edycji w oryginale wraz z przekładem polskim p. I. A. Święcickiego.

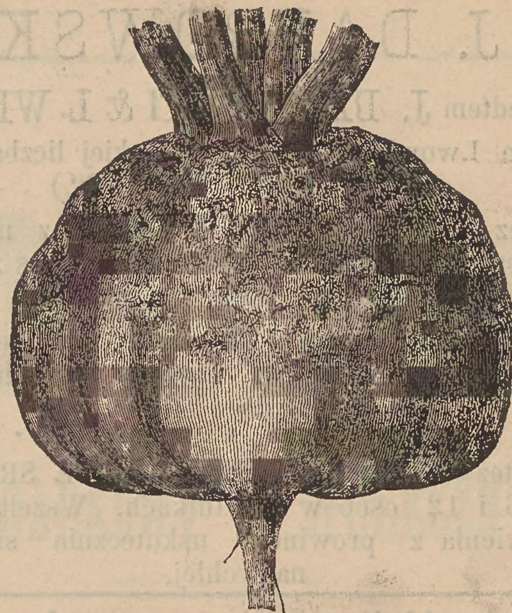
* I. Al. Fredro przeznaczył honorarja i dochody autorskie z grających się sztuk jego, na dochód sceny poznańskiej. Postępek bardzo chwalebny — gdyby to jeszcze dyrektorowie teatrów chcieli zamiast lichych tłomaczeń sztuk niemieckich, uwzględniać w repertuarze utwory naszego komedjopisarza, to słowo szlachetne przemieniłoby się w ciało, pożądane dla znękanego teatru poznańskiego.

* W celu uczczenia 25 letniej chlubnej i sławę naszemu narodowi przynoszącej pracy, dyrektora szkoły sztuk pięknych w Krakowie Jana Matejki, postanowiła młodzież uroczystym obchodem oddać hołd mistrzowi. Matejko wystąpił z pierwszą pracą w r. 1858, w tym roku więc przypada jubileusz 25 letni. W dniu przeznaczonym na obchód, wręczy młodzież jubilatowi album pamiątkowe — a w teatrze wieczorem przedstawione będą żywe obrazy, ułożone podług obrazów naszego niestrudzonego mistrza

---

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.



Wielki wybór pierścionków zaręczynowych.

Szpilek i pierścionków bukietowych.

J. DĄBROWSKI

przedtem J. DĄBROWSKI & L. WEIGEL

we Lwowie przy ulicy Halickiej liczba 17.
(dawniej „W. PENTHER".)

prócz ZEGARKÓW i ZEGARÓW z najsłynniejszych fabryk, **otrzymał wielki zapas złotych i srebrnych rzeczy.**

Szczegolnie zwraca się uwagę na **ZŁOTE ZEGARKI fabryki genewskiej**

L. W. GOSTKOWSKIEGO.

jakoteż WYPRĄWY WESELNE ZE SREBRA, na 6 i 12 osób w szkatułkach. Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.

Obrączek ślubnych,

Jedyny skład na całą Galicyę **maszyn grających**



Jedyna fabryka na całą Galicyę
założona w roku 1847

PASQUALE ZACCHI

we Lwowie, ulica Wałowa Nr. 2

poleca główny skład najnowszych figur z gipsu, stearynowej masy, cementu i marmuru po cenach najumiarkowańszych.

Przyjmuje zamówienia na ozdoby architektoniczne z gipsu, cementu, hydraulicznego wapna i drzewa w rozmaitych stylach podług podanych rysunków.

Zamówienia na prowincyę, uskuteczniają się w jak najkrótszym czasie, katalogi wysyła się na żądanie franco.

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych **kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,** wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets), **wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,** **Płótna i stołową bieliznę.** Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek

poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

DO SIEWU!

Lucernę francuzką, oryginalną czystą i pewną.
Buraki pastewne olbrzymie.
Marchew olbrzymią białą i pomarańczową.
Groch duży biały Victoria.
Trawy i wszelkie rośliny pastewne.
Len olbrzymi Rygski.
Nasiona drzew szpilkowych i liściastych.
Nasiona Jarzyn, kwiatów, i wszelkich roślin gospodarskich z ostatnich zbiorów po miernych cenach poleca

GŁOWNY SKŁAD NASION

TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie.

Cennik odseła na żądanie franco.

